

REKOMENDACJE

Niezwykłą historię Bartka usłyszałem z jego ust, gdy poznaliśmy się niemal 20 lat temu.

Jednak dopiero czytając książkę „Na dwa głosy”, poznałem szerszy kontekst i dowiedziałem się o szczegółach, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Poza tym, mogłem teraz usłyszeć „głos” Natalii i poznać jej perspektywę. Ta lektura była dla mnie niesamowicie poruszająca.

Świadectwo Bartka i Natalii jest ważne dla mnie i mojej żony, Emilii, również w wymiarze osobistym. W przeddzień naszego ślubu niespodziewanie zaczęły do nas spływać informacje, że niektóre zaproszone przez nas pary nie dotrą na ceremonię, ponieważ się rozstały. To było dla nas trudne doświadczenie – nazajutrz mieliśmy składać sobie przysięgę małżeńską, a w naszych sercach pojawiały się pytania: „Czy uda się jej dotrzymać?”, „Skąd wziąć siłę i pewność, skoro tyle małżeństw wokół nas się rozpada?”. I w tym momencie przyszła Boża odpowiedź – otrzymałem od Bartka SMS z informacją, że właśnie oświadczył się swojej byłej żonie, że Bóg połączył na nowo to, co wydawało się nie do uratowania. To było światło, którego tego dnia potrzebowaliśmy. Boża moc jest naszą gwarancją. Pan jest źródłem prawdziwej miłości i tylko On może nas do niej uzdolnić. Na Nim możemy się oprzeć jako małżeństwo.

To niesamowite, jak Pan przecina drogi różnych osób, by zrealizować swój doskonały plan. Bardzo się cieszę, że – dzięki Jego łasce – zespół TGD mógł być częścią tej niezwykłej historii.

Piotr Nazaruk – kompozytor, dyrygent,
lider zespołu Trzecia Godzina Dnia

Zbyt piękne, by było prawdziwe? Niewiele jest takich historii, jak ta, opisana w książce Lidzi Czyż pt. „Na dwa głosy”. Historia dramatyczna, wciągająca, pouczająca, mądra, a przede wszystkim dająca nadzieję tam, gdzie jej brak, gdzie mrok odbiera zdolność widzenia, a bolesna codzienność zabiera ochotę do życia. To opowieść o cudzie ponownego spotkania, o prawdziwej miłości i spotkaniu z Tym, który jest Miłością. Powieść pięknie napisana, językiem barwnym, prostym, przenikającym, a momentami przeszywającym. I jak miło mi było odkryć i tak naprawdę dowiedzieć się o swoim skromnym udziale w tej opowieści! Czyni to tę lekturę, dla mnie osobiście, czymś wyjątkowym. Gorąco zachęcam do jej przeczytania.

Bogdan Olechnowicz

Historia, jak w każdej innej książce Lidii Czyż, wydarzyła się naprawdę i jest jednocześnie piękna i trudna. Lubię czytać o ludzkich emocjach, uczuciach, wątpliwościach, pytaniach. Lubię czuć czyjeś emocje... Lubię, jak jest prawdziwie... Historia zawarta w tej książce dokładnie taka jest. Autentyczna, przeszywająca, czasem denerwująca, bo do bólu niesprawiedliwa, a momentami wzruszająca, bo dająca nadzieję. Wachlarz emocji podczas czytania gwarantowany. Nadzwyczaj ciekawa jest sama forma podania. Nie bez powodu tytuł brzmi: „Na dwa głosy”, bo czytając, poznajemy dwie perspektywy tych samych wydarzeń i – wydawać by się mogło – „tego samego” bólu. Choć muszę przyznać, że na początku może właśnie przez te różne

perspektywy trudno było wgrzyźć się w fabułę. Ale nie trwało to długo. W powieści najbardziej poruszyło mnie to, jak mocno człowiek może się pogubić i ile rzeczy po drodze zepsuć. Jednocześnie prawdą jest, że najpierw trzeba pobłądzić, by potem zostać odnalezionym. Często jest tak, że z trudnych doświadczeń, jakie stają na naszej drodze, wychodzimy zbudowani i uszlachetnieni. A to jest możliwe dzięki pomocy Najwyższego i Jego nieograniczonej łasce oraz miłości. Dobrze było to sobie przypomnieć. I jak dobrze jest pamiętać, że Pan Bóg stawia na naszej drodze nieprzypadkowych ludzi, nieprzypadkowe zdarzenia i nawet nieprzypadkowe zranienia. Odbieranie wymagających lekcji jest trudne, ale warte wysiłku. Ta książka jest doskonałym potwierdzeniem, że z totalnego dna można się odbić i znaleźć się w miejscu naszych nieśmiałyh, cichych modlitw i pragnień.

A o czym tak właściwie jest ta historia, która zdarzyła się naprawdę? Przeczytajcie i przekonajcie się sami, jak dobry jest nasz kochający Ojciec w Niebie.

Dominika Cieślak

Mamy w rękach kolejną, siódmą już książkę autorstwa Lidii Czyż (prywatnie mojej kochanej żony), pod tytułem: „Na dwa głosy”. Spokojnie można powiedzieć, że książka ta należy do tego rodzaju pozycji, które dają nadzieję, pokazują, że bez względu na to, jak skomplikowane i brutalne potrafi nieraz być życie, ratunek możemy znaleźć w osobie Pana Jezusa Chrystusa, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

Ci, którzy spotkali się z twórczością Lidzi, doskonale wiedzą, czego mogą po raz kolejny oczekiwać. Od wielu lat mogłem obserwować żmudny proces powstawania każdej z książek. Widziałem, z jakim sercem i delikatnością spisywała te wszystkie – bardzo dramatyczne i zawile – historie napisane przez życie. Widziałem, ile czasu poświęcała na zagłębianie się w problemy poruszane przez jej bohaterów. Sposób, w jaki Lidzia to robi, a także to, o czym pisze, sprawia, że wielu nie znających dotąd żywego Boga ludzi może odkryć, jak realnym Bogiem On jest, Bogiem, który jest w stanie dać naszemu życiu nowym wymiar.

ks. Leszek Czyż

NA DWA GŁOSY

LIDIA CZYŻ

NA DWA GŁOSY

HISTORIA, KTÓRA ZDARZYŁA SIĘ NAPRAWDĘ



Wydanie I, Ustroń 2021

Tytuł: *Na dwa głosy. Historia, która zdarzyła się naprawdę.*

Autor: Lidia Czyż

Redakcja: Iwona Hardej

Korekta: Dominika Czyż-Kufel, Joanna Salamon

Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Cupek

Projekt graficzny okładki: Sylwia Cupek

Zdjęcia na okładce: Jay Mantri (Unsplash), Dominika Czyż-Kufel

Druk: Drukarnia Arka, Cieszyn

Copyright © Lidia Czyż, Ustroń 2021

Do dystrybucji na terenie całego świata:

Wydawnictwo Szaron

ul. 3 Maja 49a, 43-450 Ustroń

tel.: 503 792 766

e-mail: wydawnictwo@szaron.pl

wydawnictwo.szaron.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Ustroń 2021

ISBN 978-83-8247-012-3

Książkę można nabyć:

Księgarnia i hurtownia Szaron

43-450 Ustroń, ul. 3 Maja 49a

tel.: 503 792 766

e-mail: zamowienia@szaron.pl

www.szaron.pl



*Naszej przyjaciółce Marcie oraz tym wszystkim
Osobom, które uratowały życie mojego męża.
Przepraszam, że nie wymienię Was imiennie,
ale nie chcę nikogo pominąć (jednak jeśli
niektórzy bohaterowie powieści noszą Wasze
imiona, nie jest to wcale przypadek...).*

Bo cuda dzieją się, gdy wierzysz w nie...

[fragment piosenki *Kiedy wierzysz* z filmu *Książę Egiptu*]

Urzędniczka stanu cywilnego w eleganckiej, bordowo-czarnej todzie, pobrzękując wielkim łańcuchem z orłem, weszła do sali ślubów i zajęła miejsce za masywnym, ciemnobrązowym stołem. Zerknąłem na Natalię i prawie bezgłośnie spytałem:

– Poznajesz ją?

Skinęła głową. Ze wszystkich sił staraliśmy się zachować powagę stosowną do tej chwili, jednak mieliśmy wrażenie, że uczestniczymy w jakimś spektaklu teatralnym.

– Proszę powtarzać za mną – poleciła kobieta podniosłym głosem po kilkuminutowej przemowie, z której, z powodu emocji, nie byłem w stanie nic zapamiętać. – Najpierw pan – zwróciła się do mnie – „Świadomy praw i obowiązków wynikających z założenia rodziny uroczycie oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z... – zawiesiła głos i zerknęła do akt... Natalią Dobrowolską i przyrzekam, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe”.

Powtórzyłem tekst przysięgi – słowo po słowie. Potem to samo zrobiła Natalia. Gdy urzędniczka patetycznym tonem ogłosiła, iż jesteśmy mężem i żoną, oboje wybuchliśmy

śmiechem. Popatrzyła na nas zdziwiona i chyba trochę znie-smaczona.

– My panią pamiętamy. – Usiłowałem wyjaśnić powód naszego rozbawienia, by nie poczuła się urażona.

– Taaak? – spytała przeciągle. – A skąd?

– Ja tu już kiedyś stałem przed panią i składałem tę przysięgę.

– No tak... Zdarza się... – powiedziała, z zakłopotaniem zerkając na moją świeżo poślubioną żonę.

– Ale ta pani – wskazałem na Natalię – stała tutaj ze mną...

– O! To bardzo się cieszę! – Urzędniczka akcentowała każde słowo, uśmiechając się szeroko. – No, nie zdarzają się takie rzeczy, nie zdarzają. – Kręciła głową z niedowierzaniem.

Nic dziwnego, przecież nie codziennie były mąż poślubia była żonę. Jednak – jak widać – cuda się zdarzają, jeśli tylko...

1. ONA

– Mamo, kto to jest szlachcianka? – spytałam, z trudem wypowiadając niezrozumiałe dla sześciolatki słowo, gdy mama czytała mi bajkę o Kopciuszku.

– Szlachcianka to córka szlachcica, czyli... Euzebiusz, ty jej wytłumacz! – zwróciła się do taty. – W końcu to twoja rodzina wywodzi się ze szlachty.

– Z jakiej szlachty? – zdziwiłam się.

– Nasza rodzina pochodzi z Wołynia. Popatrz, to tutaj. – Tata wyjął mapę samochodową, a jego palec powędrował na dół i na prawo. – Widzisz, teraz to poza granicami Polski, ale kiedyś granice biegły w zupełnie innych miejscach.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Była wojna i jedni, czyli Rosjanie, wygrali, a Polacy... też wygrali, tylko... Wiesz, to trochę skomplikowane. Wyjaśnię ci to, kiedy będziesz starsza. – Tata pogłodził mnie po głowie. – A kiedy będziemy u babci i dziadka, poproszę, żeby pokazali ci nasz herb. To taka pieczęć, którą miała nasza rodzina. Mówiło się, że rodzina pieczętowała się herbem Nałęcz. To jeden z najstarszych polskich herbów.

Tak wyglądała moja pierwsza lekcja historii. Dopiero kilka lat później poznałam smutną prawdę – w czasie drugiej wojny światowej moi dziadkowie, by ocalić życie, zostali zmuszeni do ucieczki z Wołynia. Z dawnego szlacheckiego splendoru pozostały wyłącznie wspomnienia i niezwykle imiona nadawane w naszej rodzinie. Dziadek miał na imię Narcyz, tato – Euzebiusz, a jeden z jego braci – Ludomir. Dziadek był nauczycielem, podobnie jak jego żona. Moja babcia, która uczyła języka polskiego, była belferką „starej daty” – nadzwyczaj zasadniczą i ogromnie wymagającą, również w życiu rodzinnym. Choć dziadek całe życie marzył o córce, doczekali się pięciu synów – mój ojciec, urodzony dwa lata przed drugą wojną światową, był drugim z kolei. Po wojnie dziadek dostał przydział do pracy w Gliwicach. Tam tato zdobył wykształcenie, został agronomek i poznał moją mamę. Wkrótce skierowano go do pracy w Urzędzie Wojewódzkim w mieście oddalonym o sto kilometrów na południe, gdzie się urodziłam po dwunastu latach małżeństwa moich rodziców, jedenaście lat po moim bracie. Mamie, mającej trzydzieści trzy lata – co uważała za wiek niemal średni – ciążyła po tak długiej przerwie wydawała się dramatem życiowym. Za to tata – co powtarzał mi wielokrotnie – szalenie się ucieszył. Od początku byłam jego ukochaną, wypieszczoną córeczką. Mimo to – szczególnie w pierwszych latach życia – byłam mocno związana z mamą.

Moje wczesne dzieciństwo było po prostu sielanką. Mieszkaliśmy w piętrowym, służbowym domu, lecz rodzice wiedzieli, że gdy tata przejdzie na emeryturę, będą musieli to miejsce opuścić. Postanowili zatem kupić działkę i zbudować dom. Nie

mieli wtedy pojęcia, jak ta decyzja odmieni całe nasze życie. Inwestycja była kosztowna, w dodatku na początku lat osiemdziesiątych XX wieku doszło w Polsce do najgłębszego kryzysu gospodarczego i zakup materiałów budowlanych graniczył z cudem. Jedyną możliwością ich zdobycia było „zapisanie się na przydział” i oczekiwanie na nie miesiącami lub wręczanie łapówki, co zwiększało koszty budowy. Dlatego gdy brat taty, który od wielu lat jeździł do pracy do Francji i po przeliczeniu na złotówki zarabiał krocie, zaproponował rodzicom wyjazd „na saksy”, nie wahali się ani chwili. Wówczas nikt nie mógł trzymać swojego paszportu w domu. Trzeba było pisać wnioski o wydanie go na okres wyjazdu, a po powrocie – o ile było się tym szczęśliwcem, który paszport otrzymał – niezwłocznie go oddać. Tato jako urzędnik państwowy nie otrzymał zgody na wyjazd. Odmowa wydania paszportu była powszechną praktyką władz, argumentowaną koniecznością dochowania tajemnicy państwowej. Tylko nikt nie miał pojęcia, jaką tajemnicę państwową mój ojciec mógłby zdradzić – nie znał żadnej... Ale wtedy za tajemnicę uważano nawet umiejscowienie jakiejś fabryki czy mostu, które przecież każdy mógł zobaczyć.

Mama, która pracowała wcześniej w biurze (gdzie – w wyniku wypadku – doznała urazu biodra i przeszła na rentę, a następnie na wcześniejszą emeryturę) – paszport dostała. W tej sytuacji postanowiła pojechać z wujkiem sama. Dla mnie, ośmiolatki przyzwyczajonej do stałej obecności mamy w domu, perspektywa jej wyjazdu na kilka miesięcy była przerażająca. To ona odprowadzała mnie do przedszkola, a później do szkoły,

czekała na mnie po lekcjach z gorącym obiadem i odrabiała ze mną zadania. Ona całowała na dobranoc i kładła wieczorem do łóżka. Rozumiałam, że rodzice potrzebują pieniędzy na budowę, ale gdy mama wsiadała do samochodu wujka, wpadłam w histerię i nie chciałam jej puścić. Wczepiłam się w nią i płakałam wprost spazmatycznie. Wydawało mi się, że gdy jej nie będzie, umrę z tęsknoty. Mama z kolei najbardziej martwiła się tym, że zostajemy z tatą sami – brat wprawdzie mieszkał z nami, lecz odrabiał służbę wojskową w Straży Pożarnej, pracował na zmiany i mało czasu spędzał w domu. Mama poprosiła więc swoją mamę, by przyjechała do nas, aby się nami zaopiekować. Początkowo ucieszyłam się, bo bardzo kochałam babcię, lecz szybko jej obecność okazała się prawdziwą udręką. Babcia, którą dotychczas widywałam sporadycznie – wtedy mnie przytulała, obsypywała słodyczami, po czym szybko wracała do siebie – teraz usiłowała zastąpić mi mamę. Wkrótce tak zaczęła się rządzić w naszym domu, że doszliśmy z tatą do wniosku, iż dłużej tego nie wytrzymamy. Uknuliśmy zatem plan, by odesłać babcię z powrotem do domu.

– Mamo, my doskonale poradzimy sobie sami – przekonywał ją tato, a ja, stojąc za jej plecami, kiwałam głową, dodając mu odwagi.

– Przecież obiecałam Lilce, że się wami zajmę...

– Wiesz, jaka ona jest, przesadnie się o nas martwi. Naprawdę potrafimy zadbać o siebie, zresztą Natalce dobrze zrobi nauka samodzielności.

– To jeszcze dziecko! – Załamywała ręce babcia.

– Dzieci powinny od małego być przyzwyczajane do obo-

wiązków – oponował tato – inaczej niczego się w życiu nie nauczą.

– Tylko...

– Mamo, czy mamą się ktoś przejmował w dzieciństwie? Wyręczał we wszystkim?

– No nie. Była wojna... jedna, druga...

– No widzi mama. Nade mną także nikt się nie trząśł, od najmłodszych lat miałem mnóstwo obowiązków – i co? Wyrosliśmy na ludzi. Niech mama się nami nie przejmuje i wraca do Gliwic. Natalko, damy sobie sami radę, prawda? – zwrócił się do mnie tato.

– Oczywiście, poradzimy sobie – zapewniałam gorliwie.

Nie było łatwo przekonać babcię, ale tak długo jej to perswadowaliśmy, aż wreszcie wyjechała. Odetchnęliśmy z ulgą, choć obowiązków rzeczywiście mi przybyło. Byłam odpowiedzialna za utrzymanie porządku w domu, a do tego codziennie, wracając ze szkoły, musiałam robić zakupy. Kupowałam chleb i mleko w ciężkiej, szklanej, litrowej butelce i upychałam to wszystko do tornistra, który ledwie się domykał.

Gdyby tego było mało, tato zapisał mnie na treningi w klubie narciarskim, bo uważał aktywność fizyczną za niezwykle ważną. Zapewne wzięło się to stąd, że moi dziadkowie wychowywali swoich synów w kulcie sportu, stale zabierali ich w góry, na łyżwy, narty, sanki – oczywistym było zatem, że powinnam mieć podobną pasję. Dlatego trzy razy w tygodniu musiałam dojeżdżać na treningi do klubu sportowego. Mieszkaliśmy co prawda blisko stacji kolejowej, lecz byłam jeszcze mała i za każdym razem była to dla mnie cała wyprawa. Po

lekcjach wracałam z zakupami do domu, potem szłam na stację, jechałam pociągiem na dworzec, gdzie przesiadałam się do zatłoczonego autobusu, którym docierałam na miejsce treningu znajdujące się na drugim końcu miasta. W sezonie zimowym dodatkowo taszczyłam ze sobą narty, bo jeździliśmy na stoku; w pozostałych porach roku ćwiczyliśmy w hali sportowej. Inne dzieci z klubu nie musiały się tak męczyć – chodziły do szkoły sportowej mieszczącej się na tym samym osiedlu, co hala. W dodatku dojeżdżały tam autokarem i miały lekcje dopasowane do treningów. Powrót z zajęć był dla mnie jeszcze trudniejszy, bo poza sezonem letnim pociągów jeździło mało i za każdym razem przez półtorej godziny błąkałam się po dworcu. Do domu zawsze wracałam po ciemku i bardzo się bałam. Dopiero gdy dorosłam, zaczęłam się dziwić, dlaczego tato nie przyjeżdżał po mnie samochodem – przynajmniej na dworzec. Tłumaczyłam to sobie tym, że został wychowany przez nadzwyczaj wymagającą matkę, więc kładł wielki nacisk na to, by jego dzieci były samodzielne – dlatego i ja od najwcześniejszych lat musiałam być bardziej dojrzała niż moi rówieśnicy. Trochę im zazdrościłam, bo spokojnie wracali po szkole do domu i nie musieli chodzić na ćwiczenia, które w dodatku stawały się coraz bardziej męczące. Może gdybym okazała się sportową gwiazdą, to tłuczenie się autobusami i pociągami miałoby sens – niestety nigdy nie mogłam pochwalić się żadnymi osiągnięciami.

W szóstej klasie miałam tych treningów tak serdecznie dość, że postanowiłam definitywnie zerwać ze sportem. Powiedziałam o tym tacie – na szczęście nie upierał się i pozwolił mi zrezygnować. Kamień spadł mi z serca. Zresztą z tatą

zawsze miałam dobrą relację – i z każdym rokiem stawała się ona bliższa, tym bardziej że mama po pierwszym wyjeździe do Francji zdecydowała się na kolejne. Jechała na kilka miesięcy, wracała na dwa–trzy miesiące i znów wyjeżdżała na pół roku – za każdym razem miałam nadzieję, że to już ostatni raz. Początkowo niesamowicie za nią tęskniłam, rysowałam dla niej laurki, robiłam paczki ze słodyczami, pakowałam to wszystko do pudełek i przysyłałam przez wujków, którzy jechali w tamte rejony. Tęsknota była tym większa, że miesiącami nie mieliśmy z mamą żadnego kontaktu, nawet telefonicznego. W tamtym czasie rozmowy międzynarodowe były niebotycznie drogie, a i uzyskanie takiego połączenia wymagało wielu zabiegów logistycznych. Rozmowę trzeba było zamówić w centrali telefonicznej i godzinami czekać na połączenie. Ponieważ nie mieliśmy w domu telefonu, czasem – nawet nie przy każdej wyprawie mamy – jechaliśmy do cici (żony wujka, który sprowadził mamę do pracy we Francji), by od niej zadzwonić. Czekaliśmy kilka godzin, a rozmawialiśmy kilka minut. Ta chwila w żaden sposób nie była w stanie złagodzić bólu, jaki powodowała rozłąka z mamą. A tęskniłam za nią tak rozpaczliwie, że prawie co wieczór łkałam w poduszkę, nierzadko przepłakując niemal pół nocy. Z zazdrością patrzyłam na domy koleżanek, w których mamy były obecne cały czas. Ich kuchnie pachniały obiadem i ciepłem, a mamy koleżanek wypytywały je o to, co działo się w szkole i jaką ocenę dostały, razem wybierały się na zakupy (choć sklepy zazwyczaj świeciły pustkami), na spacer czy do krawcowej, by uszyć sukienkę z upolowanego materiału. A nasze mieszkanie – chociaż tato robił, co mógł – było

puste i zimne. Ponieważ mieliśmy wielki ogród, który wymagał mnóstwa pracy, od wczesnej wiosny do późnej jesieni tato spędzał w nim całe popołudnia. W związku z tym nie ingerował zbyt w moje życie i nie pilnował mnie, powtarzając, że ma do mnie pełne zaufanie. A ja, być może właśnie dlatego, że miałam dużą swobodę, nie chciałam tego zaufania zawieść. Na szczęście Opatrzność nade mną czuwała, bo nigdy nie pociągały mnie złe rzeczy.

Podczas jednego z kolejnych półrocznych wyjazdów mamy – gdy nasz nowy dom był już prawie na ukończeniu – tak bardzo za nią tęskniłam, że zrobiłam sobie kalendarz, w którym odliczałam dni do jej powrotu. Zostało ich już niewiele, zaledwie kilka z jej stuosiemdziesięciodniowej nieobecności – wtedy mama napisała, że zaproponowano jej przedłużenie pobytu o następne trzy miesiące. Czytając to, rozplakałam się w głos. Napisałam list, w którym błagałam ją, żeby wróciła. Pisałam, że pieniądze nie są ważne, nowy dom nie jest ważny, proszę tylko, żeby przyjechała, bo ogromnie tęsknię i bardzo jej potrzebuję. Kilka tygodni później, gdy wróciłam ze szkoły, tata bez słowa podał mi list od mamy, w którym informowała, że podjęła decyzję o pozostaniu we Francji dłużej. Trzymając go w ręku, usiadłam na taborecie w kuchni. Siedziałam tak dłuższą chwilę, jak skamieniała. Miałam wrażenie, że w moim sercu coś pęka – boleśnie i na zawsze. Od tego momentu było mi już całkowicie obojętne, gdy wyjeżdżała.

Mama powiedziała mi później, że gdy otrzymała mój list, w pierwszym odruchu chciała wrócić. Doszła jednak do wnio-

sku, że może pokłóciłam się z tatą, miałam gorszy dzień albo poniosły mnie emocje i niebawem mi przejdzie, dlatego podjęła decyzję o przedłużeniu pobytu.

Choć w domu spadało na moje barki sporo zadań, odtąd nieobecność mamy była mi wręcz na rękę. Zostawałam tylko z tatą, z którym zawsze dobrze się dogadywałam i który nigdy nie miał do mnie pretensji, a ja starałam się nie sprawiać mu większych kłopotów, wywiązywałam się ze wszystkich obowiązków i dobrze się uczyłam. Mieliśmy wypracowany układ, który funkcjonował bez zarzutu – problem pojawiał się, gdy wracała mama, bo zaczynała się rządzić, wtrącać i czepiać o wszystko. Nazywaliśmy to powrotem marynarza, bo podobno oni po zejściu ze statku i zjawieniu się w domu mają właśnie takie zapędy. Mama być może próbowała nadrobić zaległości, niestety, było to już niemożliwe. I między nami obiema, i między nią i ojcem dochodziło do konfliktów. Jej wyjazdy stały się więc wytchnieniem także dla taty, bo przez kilka miesięcy mógł znowu żyć spokojnie. Chociaż nowy dom był gotowy i nie potrzebowaliśmy tak dużo pieniędzy, mama nadal przez wiele lat jeździła do Francji. Ustalili z tatą, że pieniądze, które ona zarobi, będzie wydawać na swoje potrzeby: wycieczki, urlopy, wyjazdy z ciotką do sanatorium, bo po wypadku potrzebowała rehabilitacji. Wspierała również finansowo mojego brata, który również rozpoczął budowę domu. Obiecałam sobie wtedy, że jeśli w przyszłości będę miała dzieci, nigdy nie zafunduję im czegoś podobnego, bo ten zimny dom nie był wart żadnych pieniędzy. Nawet najpiękniejsze prezenty, najlepsze przysmaki, ubrania czy gadżety,

które mama przywoziła, nie były w stanie zrekompensować jej nieobecności. Choć określenie „eurosierota” powstało wiele lat później, ja już wówczas boleśnie doświadczyłam, co ono oznacza. Negatywne skutki psychiczne i emocjonalne, będące następstwem braku obecności mamy, ciągnęły się za mną przez wiele lat.

Rodzice skończyli budowę domu, gdy chodziłam do szóstej klasy. Do szkoły miałam teraz o wiele dalej – piechotą czterdzieści minut w jedną stronę – lecz nie chciałam jej zmieniać. A że na mojej trasie był kościół, przed zajęciami wstępowałam do niego, klękałam w ostatniej ławce i powierzałam Panu Bogu wszystkie sprawy, jakie czekały mnie każdego dnia.

Tego nauczył mnie głęboko wierzący dziadek Narcyz, który w dzieciństwie był najbliższą mi osobą. Łagodny, dobry – wydawało mi się, że właśnie tak wygląda święty. Choć odwiedzaliśmy go raz w tygodniu, te spotkania wywierały na mnie wielki wpływ. Często chodziłam razem z nim do kościoła (podczas gdy reszta rodziny zaliczała się raczej do „niedzielnych” wierzących). Dzięki niemu pisałam nawet listy do Pana Boga, w których prostymi, dziecięcymi słowami dzikowałam Mu i prosiłam Go o różne rzeczy – tak jak uczył mnie dziadek. Był mentorem nie tylko dla mnie, ale także dla pozostałych członków rodziny, którą scalał. Babcia Franciszka była zupełnie inna: zasadnicza, oschła i surowa. To nie była babunia, której wchodziło się na kolana i do której można się było przytulić. Gdy rodzina przychodziła w odwiedziny, babcia brała najpierw wnuki w wieku szkolnym do osobnego pokoju, podsuwała gazetę i polecała

dokonać rozbioru zdania, a następnie robiła dyktando. Jeśli się ten egzamin zdało, można było dołączyć do reszty towarzystwa. Trudno byłoby nazwać babcię „chodzącą miłością”, w przeciwieństwie do dziadka, z którego dobroć wprost się wylewała. Nie pamiętam, by kiedykolwiek się zdenerwował czy potraktował kogoś źle. W rodzinie krążyły opowieści o tym, że chciał zostać księdzem, ilekroć jednak miał przyjąć święcenia, ciężko się rozchorowywał. W końcu jego przełożony poradził mu, by zastanowił się nad tym, czy może Najwyższy nie ma dla niego innego planu. „Widocznie Bóg nie chce, bym został duchownym” – stwierdził dziadek. W tym czasie poznał babcię, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia. Ona natomiast przyznała po latach, że wprawdzie wyszła za mąż z rozsądku, ale to Opatrzność postawiła dziadka na jej drodze, bo im lepiej go poznawała, tym bardziej podobał się jej jego charakter, a gdy była w pierwszej ciąży, również go pokochała. Choć dziadek przez cały okres małżeństwa kochał babcię do szaleństwa, to miłość do Boga była sensem jego życia. W każdej sytuacji dziękował Wszechmocnemu za wszystko – i często widziałam, jak się modli. Gdy ktoś w rodzinie przeżywał problem czy komuś źle się działo – przy pięciu żonatych synach, a tym bardziej przy wielu wnukach zdarzało się to nieustannie – wszyscy zawsze biegli do dziadka, a on znajdował mądre rozwiązanie. Ja byłam pilną, ułożoną uczennicą, lecz zawsze miałam własne zdanie na każdy temat. Jak mówił wujek: „Wygląd aniołka, ale charakterek ma”. Pewnego razu, gdy pojechaliśmy do dziadka, mama jak zwykle zaczęła na mnie narzekać. Tacie też się to zdarzało, lecz o wiele rzadziej –

on raczej mnie bronił. Dziadek zawsze wysłuchiwał rodziców, a tego dnia wziął mnie na osobność, mocno przytulił i powiedział, jak ceni u mnie to, że wiem, czego chcę. Prawdę mówiąc, nie zrozumiałam, dlaczego to, co wszyscy ganili – posiadanie własnego zdania – on uznał za pozytywną cechę. Takie chwile z dziadkiem i jego wspierające słowa zostawiały w moim sercu ślad na zawsze. Miał jeszcze jedną niezwykłą cechę: ponieważ podczas wojny wiele razy stracił wszystko, zupełnie nie przywiązywał wagi do rzeczy materialnych. Przeciwnie, zawsze był chętny, by pomagać innym. Kiedyś moi rodzice wybrali się na giełdę towarową, bo mama od dawna marzyła o karakułowym futrze i za zarobione we Francji pieniądze chciała je sobie kupić. Takie futra były wtedy niezwykle modne i bardzo drogie, dlatego mama długo na nie oszczędzała. Na giełdzie były tłumy ludzi i niestety ktoś ją w tym ścisunku okradł. Załamana stratą i zapłakana pojechała z tatą do dziadka, a on wyciągnął portfel i wręczył jej dokładnie tyle, ile jej ukradziono. Do dziś nie wiem, jak był w stanie odłożyć aż tyle!

Dziadek pozostawił wszystkim wnukom wyjątkową pamiątkę: szczegółowo udokumentował dzieje naszej rodziny od początku dwudziestego wieku. Na jego prośbę również babcia – na kilka lat przed śmiercią – spisała swoje wspomnienia. I to właśnie one pozwoliły mi ją lepiej poznać. Zrozumiałam, dlaczego miała tak twardy charakter. Przeżyła prawdziwą gehennę i wszystkie te trudne przeżycia wpłynęły na to, jaki miała styl bycia, w jaki sposób wychowywała synów i jak traktowała wnuki. Pochodziła, podobnie jak dziadek, z Wołynia, z ubogiej, wielodzietnej – miała aż jedenaścioro rodzeństwa – ale żytej

rodziny. Byłam wstrząśnięta, gdy przeczytałam, że jej najwcześniejszymi dziecięcymi wspomnieniami – z czasów pierwszej wojny światowej, gdy miała cztery lata – były stopy trupów leżące wszędzie wokół. Gdy wojna się skończyła, babcia była siedmiolatką. Co ciekawe, ona także chciała pójść do klasztoru, lecz odwiódł ją od tego pomysłu katecheta. Szczerze przyznawała, że w młodości jej główną wadą była zarozumiałość, z której skutecznie wyleczyły ją ciężkie przeżycia. Przed drugą wojną światową zaczęła pracować jako nauczycielka w miejscowości oddalonej kilka kilometrów od rodzinnego domu. Warunki życia były nadzwyczaj ciężkie: zimą brnęła po pas w śniegu, do domu wracała przemoczona i zmarznięta, co przyczyniło się do artretyzmu w późniejszych latach.

Po wybuchu drugiej wojny światowej, gdy Niemcy z zachodu napadły na Polskę, na mocy ustaleń paktu o granicach i przyjaźni pomiędzy III Rzeszą a ZSRR tereny województwa wołyńskiego znalazły się pod okupacją rosyjską. Mieszkańcom, szczególnie Żydom i Polakom, zgotowano tam piekło na ziemi. Kto mógł, uciekał stamtąd. Również dziadkowie – wraz z trzema synami w wieku siedmiu, pięciu i trzech lat – uciekli z domu, gdy babcia na własne oczy zobaczyła swoich dawnych uczniów, sąsiadów i współpracowników bestialsko pomordowanych przez Sowietów. W drodze paraliżował ich ciągły strach przed wywózką na Syberię, kilka razy cudem wydostali się z obławy. Nie mieli pojęcia, że najgorsze miało dopiero nadejść. W roku 1944, gdy zbliżał się front wschodni, Rosjanie i Ukraińcy urządzili Polakom na tych terenach prawdziwą rzeź. Jak pisała babcia – podczas ucieczki co parę kroków

napotykali spalone czołgi, trupy ludzi i zwierząt, a okropne kanonady nieodwracalnie uszkodziły jej nerw słuchowy (co znacząco utrudniało jej życie). Gdy przed nieustannym ostrzałem ukrywali się w piwnicy, babcia poczuła bóle porodowe. To cud, że w tych koszmarnych warunkach ich czwarty syn urodził się cały i zdrowy. Ale nie był to koniec dramatycznych doświadczeń. Cztery razy zbombardowano dwa domy, w których dziadkowie się schronili, a oni stracili wszystko, co posiadali. Za każdym razem zostawali tylko z tym, co mieli na sobie. W końcu udało im się dostać do pociągu: w strasznych warunkach, w wagonach towarowych przez wiele dni podróżowali do Polski. Byli bez grosza, a jedyne, co posiadali, babcia skrupulatnie wymieniła we wspomnieniach: „beczułka kiszonych ogórków, suchary, puszka oleju, tanio kupiony dębowy kredens, łóżko drewniane i poduszka – otrzymane w prezencie od cioci, oraz rogi jelenie”. Dziadkowie od razu zgłosili się do pracy w szkole: babcia otrzymała etat na Śląsku, a dziadek, niestety, dostał przydział do szkoły aż w Sudetach, dokąd babcia z powodu nadciśnienia nie mogła się przenieść. Gdy po kilku latach wrócił na Śląsk, wzięli do domu także jego ojca, mojego pradziadka.

Nie pojmuję, jak babcia dawała sobie ze wszystkim radę, bo – jakby tego było mało – jeszcze studiowała zaocznie, urodziła piątego syna (siedemnaście lat młodszego od najstarszego brata) i – żeby utrzymać tak liczną rodzinę – hodowała świnię i pszczoły. Obsługiwanie siedmiu mężczyzn w czasach, gdy nie było pralek, lodówek, żelazek elektrycznych ani żadnych innych urządzeń ułatwiających życie, było naprawdę tytaniczną pracą.

Wreszcie po wielu latach dziadkowie – za mienie zostawione na Wschodzie – dostali rekompensatę w postaci starego domu z ogrodem. Budynek był bardzo prymitywny, nie miał nawet toalety, wymagał generalnego remontu. Dziadkowie kolejny raz poradzili sobie z tym, choć nadal spokój nie był im pisany. Tym razem napotkali trudności przy wychowywaniu synów. Mój tato sprawiał im najmniej problemów, jednak jego dwaj bracia w wieku dojrzewania dali rodzicom nieźle popalić. Babcia podkreślała, że jedynie Bogu zawdzięcza, iż „złe” minęło, a synowie wyrosli na wspaniałych, pracowitych i uczciwych ludzi. Tłumaczyła się, że była wobec nich zbyt surowa i wymagająca, lecz to ciężkie warunki i praca ponad siły sprawiły, że stała się tak stanowcza. Podsumowując swoje życie, napisała pięknie: „Gdy przyszły cierpienia, załamywałam się. Zapomniałam, że każde cierpienie ma wielką wartość, cel. Nic nie dzieje się bez woli Boga. A trzeba swój krzyż nieść, a nie wlec za sobą. Przekonałam się wtedy, jak cudowną moc ma modlitwa. Liczyłam tylko na siebie. I tu też był mój błąd. Trzeba było więcej prosić Boga o pomoc, pamiętając, że «wszystko mogę w tym, który mnie umacnia». Dziś z perspektywy widzę swoje błędy i gdyby tak można było cofnąć czas, inaczej bym postępowała. Gdybym całkowicie zaufała Bogu, byłabym zaoszczędziła sobie wiele cierpień”. Zapisałam sobie te słowa i nieraz do nich zaglądałam. Zapiski babci pozwoliły mi zrozumieć ją lepiej, żałowałam jedynie, że na poprawienie naszych relacji nie miałam już szans, bo babcia zmarła, gdy byłam trzynastolatką. Dziadek Narcyz przeżył ją o jedenaście lat.

1. ON

Wychowałem się w dość dużym mieście na południu Polski. Gdybym miał określić naszą rodzinę jednym słowem, powiedziałbym: fajna. Wiem, każda polonistka zmyłaby mi za to głowę, twierdząc, że świadczy to o moim ubóstwie językowym, jednak to słowo najtrafniej oddaje to, w jakiej rodzinie wzrastałem. „Zazdroszczę ci takiego ojca” – słyszałem wiele razy od kolegów, zarówno w szkole podstawowej, w czasach liceum, jak i później, gdy byłem już dorosły. „Chciałbym mieć takich starych, bo moi...” – mówili znajomi, dzieląc się swoimi bolesnymi doświadczeniami z dzieciństwa, opowiadając o braku kontaktu z rodzicami lub o trudnych, raniących relacjach.

W naszym domu było zupełnie inaczej. Szczęśliwe dzieciństwo spędziłem wraz z rodzicami, babcią Janką i moją siostrą bliźniaczką – Asią. Oboje z siostrą byliśmy do siebie niezwykle podobni, a zimą, gdy mama założyła nam takie same czapki i palta – nie do rozróżnienia. Mieliśmy śniadą karnację, kruczoczarne włosy i czarne jak smoła, błyszczące oczy – rodzice twierdzili, że prawdopodobnie po jakiejś egzotycznej praprababce. W przeciwieństwie do Asi nigdy głębiej się nad tym nie zastanawiałem, zaintrygowało mnie za to coś innego – dlaczego urodziłem się w Warszawie? Gdziekolwiek musieliśmy podać miejsce urodzenia, wzbudzało to zdziwienie: „O, w stolicy?!”. Gdy kiedyś Asia zapytała o to mamę, ta wytłumaczyła jej, że ze względu na ciężą mnogą wystąpiły komplikacje, a jej przyjaciółka, którą nazywaliśmy ciocią, była ordynatorem szpitala pediatrycznego, dlatego mama rodziła